

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

# PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

*Kwartalnik*



Nr 4(24)

WARSZAWA

1957

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

## SPIS TREŚCI

### ARTYKUŁY

- Ananiasz Zajączkowski, *O przysłowiaach tureckich i azerbajdżańskich* 371  
Stanisław Kałużński, *Notatki z pobytu w Mongolii* 397

### UTWORY LITERACKIE

- Z poezji Rabindranatha Tagore* (przełożyła i opracowała Jadwiga Makowicka) 405  
Natan Szacham, *Jan Bar Chama*, Dramat w trzech aktach, akt. I (z hebrjskiego przełożył Władysław Tubielewicz) 413  
Je Szeng-tao, *Człowiek z ryżowej słomy* (z chińskiego przełożyła Alicja Wiatr) 431  
*Aforyzmy staroindyjskie* (z sanskryktu przełożyli Eugeniusz i Edmund Słuszkiewicz) 439

### MATERIAŁY I NOTATKI

- Stanisław Małachowski, *Dzban sakralny używany przez wyznawców hinduizmu* 445  
Maria Skuratowicz, *Na marginesie afgańskich legend ludowych* 448

### RECENZJE

#### Z KSIĄŻEK

- Kuo Mo-žo, Pisma wybrane* (M. Velingerová) 451  
*Paweł Nagai, Dzwony Nagasaki* (W. Kotański) 454  
*Ńu. W. Knorozow, Sistema pis'ma drewnich majja* (S. Strelcyn) 458  
*Rasskazy piersidskich pisiatelej* (F. Machalski) 459  
*M.N. Pietrow, Bibliografija po geografii Irana* (D. Kowalik) 461

- Z CZASOPISM 464  
NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE 470

### KRONIKA

- Z wydarzeń na współczesnym Wschodzie 477

### SPIS TABLIC

- Do artykułu S. Kałużńskiego, *Notatki z pobytu w Mongolii* TABL. I—IV  
Do artykułu S. Małachowskiego, *Dzban sakralny używany przez wyznawców hinduizmu* TABL. V—X

\*

Winiетка na okładce stanowi motyw hinduski, przedstawiający pojęcie trójcy *Trimurti* w osobach bogów: Brahma, Wisznu i Sziwa.



JE SZENG-TAO

### CZŁOWIEK Z RYŻOWEJ SŁOMY

Je Sza o - k ü n (pseudonim literacki — Je Szeng - t a o) urodził się w Wu-sien, w prowincji Kiangsu w r. 1893. Jest to jeden z najbardziej znanych nowelistów. Pisze krótkie opowiadania z życia chińskiej inteligencji, przeważnie nauczycielstwa, z życia młodzieży i opowiadania fantastyczno-baśniowe. Otrzymał tylko średnie wykształcenie, ale uzupełniał swą wiedzę jako samouk. Był nauczycielem, toteż znajomość środowiska nauczycielskiego i młodzieżowego wykorzystał w swych opowiadaniach. Od 1912 r. pracuje w różnych szkołach średnich, a potem uniwersytetach Szanghaju. Jako członek Towarzystwa Studiów Literackich wydaje przez pewien czas „Miesięcznik Nowel”, „Czasopismo Kobiet”, jest współpracownikiem poetyckiego czasopisma „Wiersz”, wydawanego przez Chińskie Biuro Książki. Nieco później przystępuje do pracy w Biurze Wydawniczym Kai-ming, wydaje czasopismo „Uczeń”. Swoje utwory drukuje w „Tygodniku Literackim” i w „Północnej Niedźwiedzicy”, w „Miesięczniku Literackim” i w „Życiu Literackim”.

W 1938 r. wykłada na Uniwersytecie Wuhańskim. Od 1940 r. przebywa w Cz'engtu, gdzie aż do zwycięstwa rewolucji pracuje w wydawnictwie Kai-ming.

W 1922 r. wychodzi zbiór jego nowel *Nie rozumiemy się*, w 1924 r. zbiór esejów *Pochwa miecza*, a następnie tomiki nowel *W mieście* (1926) i *Niestrudzenie* (1929). W 1930 roku ukazuje się nowela *Ni Huan-czy* i zbiór nowel *Kłeska*. Poza tym napisał opowiadania: *Pod widnokregiem*, *Młodzieniec*, *Kroki* oraz opublikował zbiór dramatów *Rodzinne zebranie*.

Opowiadanie fantastyczno-baśniowe *Człowiek z ryżowej słomy* napisane zostało w 1922 r.

A. W.

O krajobrazy, pejzaże pól! Dniem, poeta wzdychając układa o was wspaniałe wiersze, malarz przenosi wasze piękno na płótno; opiewają was dla wielu, wielu pokoleń. A nocą... Czy jest ktoś, kto mógłby opowiadać ludziom o życiu pól nocą? Nocą, poeta popija słodkie wino, a malarz, przyciskając do piersi pełen poezji instrument muzyczny, cicho nuci. Nie, oni nie mają czasu pójść w pole nocą. Czyż naprawdę nie ma nikogo, kto mógłby opowiedzieć ludziom o krajobrazach nocy? Jest, a jednak jest! Jest nim człowiek z ryżowej słomy.

Posłuchajmy, co mówią wyznawcy Chrystusa: człowiek jest stworzony rękami Boga. Nie pytajmy, prawda to, czy nie, ale naśladując wyznawców Chrystusa

powiedzmy: słomiany człowiek jest stworzony rękami wieśniaków. Jego szkielet i kości — to cienkie bambusowe gałązki z ogrodu, jego skóra — to zeszłoroczna pożółkła ryżowa słoma. Kapeluszem może być stary połamany koszyk lub podziurawiony liść lotosu. Pod kapeluszem kryją się trudne do wyodrębnienia: nos, oczy, brwi. W ręce bez palców trzyma człowiek z ryżowej słomy stary, złamany wachlarz. Właściwie nie można powiedzieć, że trzyma, bo wachlarz jest przywiązany i martwo zwisa w dół. Jego kończyny też jakoś martwo sterczą. Wieśniak wetknął go w gliniastą ziemię na skraju pola — i tak stoi dniem i nocą.

Obowiązki swe spełnia bez zarzutu. Bo porównajcie go z wołem lub psem — nocnym stróżem. Wół, i ten przecież, kiedy się zmęczy, kładzie się na ziemi i odpoczywa. Leniwie podnosząc głowę, patrzy w niego. A pies — nocny stróż, kiedy weźmie go ochota, jak szalony biegnie aż na skraj wioski; toteż wieśniak napoci się niemało, zanim ukróci jego swawole.

Nie, człowiek z ryżowej słomy ani przez chwilę nie czuje tęsknoty i krzywdy, tak jak wół, który leżąc patrzy w niebo, ani też nie odczuwa pragnienia zabaw tak jak pies — nocny stróż, który ucieka na skraj wioski. Człowiek z ryżowej słomy tylko kołysze się i stojąc w miejscu patrzy za zagony pól. Wachlarz w jego ręku leciutko porusza się. Przegania fruujące młode wróbelki, które chciałyby wydziobać ziarenka z kłosów. Człowiek z ryżowej słomy nie potrzebuje jeść, nie potrzebuje spać, nie musi siadać i odpoczywać, stoi tylko na miedzy jak strażnik pól. I dlatego najbardziej zna i rozumie krajobrazy i życie pól nocą. On wie jak z nieba spada rosa, zna słodki jej smak. Wie, jak gwiazdy mrugając otwierają swe piękne oczy, jak uśmiecha się samotny księżyc. Zna ciszę nocnych pól, głęboki sen drzew i traw. Wie, jak składają sobie wizyty owady, jak kochają się motylki. Słowem, człowiek z ryżowej słomy zna wszystko.

A teraz oto posłuchajcie, co widział pewnej nocy:

Noc. Na niebie jasny, lśniący księżyc. Człowiek z ryżowej słomy strzeże zagonów pól, leciutko porusza się wachlarz w jego ręku... Muskając kłosa, lekko przelatuje wiatr, wydaje leciutkie tony, jak dźwięki liry. W blaskach księżyca łany ryżowych zasiewów stają się tak jasne, tak zielone, jakimi nie były w najwcześniejszej swej młodości, zaraz po wzejściu. Człowiek z ryżowej słomy patrzy, a w sercu czuje wielką radość i lekkość. Ten urodzaj musi być pomyślny dla jego gospodyni, musi wywołać uśmiech na jej żalostnej, starej twarzy. Kiedy też ona uśmiechała się po raz ostatni? Przed ośmioma czy dziewięcioma laty umarł jej mąż. Płakała tak długo, że jej oczy dotąd są czerwone i napęcznieły łzami. Została ze swym jedynym synem i z nim obrabiała ten kawałek pola. Przez trzy lata pracowała, aby spłacić długi za pogrzeb męża. A potem spadło na nią nowe nieszczęście; zaraza dotknęła syna. Omal że nie postradała zmysłów; straciła poprzednią energię i z trudem obrabiała swoje pole. I znów — przez trzy lata ledwo zdołała wyjść z długów zaciągniętych na pogrzeb syna. A później — dwa lata głodów spowodowanych powodzią, zgniły lub przerosły zboża. Łzy nie wysychały na jej twarzy, oczy zamglily się, nie widziała nic na pięć kroków.

Twarz ta, poorana niezliczonymi zmarszczkami była podobna do zwiędłej mandarynki. Wydawać się mogło, że już nigdy nie pojawi się na niej uśmiech.

W tym roku słoma dobrze użyźniła pole i deszcze nie były zbyt obfite; toteż można mieć nadzieję, że plony będą bogate. I dlatego człowiek z ryżowej słomy już zawczasu cieszył się jej przyszłą radością. Jeżeli zbierze wyjątkowo bogate i piękne plony, może zwróci się jej to, co utraciła, może zbiory staną się rekompensatą przeszłości. A wtedy na jej pomarszczonej, wyschniętej twarzy na pewno ukaże się uśmiech pełen spokoju i szczęścia.

Dla człowieka z ryżowej słomy uśmiech starej kobiety był piękniejszy od uśmiechu gwiazd, radośniejszy od uśmiechu księżyca, cenniejszy niż wszystkie skarby. Tak kochał swą gospodynię!

Kiedy tak rozmyślał, przyfrunął mały, biało-żółty motylek. Człowiek z ryżowej słomy wiedział, że motylek jest wrogiem młodziutkich kłosów, a tym samym wrogiem gospodyni. Przypomniawszy sobie o swych obowiązkach. Koniecznie musi go przepędzić! I wachlarz w jego ręku począł poruszać się nieustannie.

Ale małe motylki nie bardzo boją się poruszanego wiatrem wachlarza. Motylek podfrunął lekko i potem siadł, aby odpocząć. Zupełnie nie zwrócił uwagi na przepędzającego go ze zboża człowieka z ryżowej słomy. Człowiek z ryżowej słomy martwił się widząc małego motylka. Niestety, jego ciało podobne jest drzewu, które wyrósłszy w danym miejscu, chociaż chce, nie może uczynić nawet pół kroku. I dlatego z coraz większą pasją porusza wachlarzem, ale mały motylek ani myśli uciekać.

Na myśl o tym, co będzie ze zbożem, na myśl o łzach w oczach gospodyni, o jej wyschniętej, pomarszczonej twarzy, o jej losie, człowiek z ryżowej słomy tak cierpi, jakby ktoś jego serce kłuł ostrym nożem. A motylek ciągle siedzi — odpędzanie nie daje żadnego rezultatu.

Całymi sznurami powracają na niebo gwiazdy, wracają spokojne blaski nocy, a motylek ciągle fruwa. Człowiek z ryżowej słomy smutnie patrzy w dal na ryżowe pole. Wachlarz łamie się. Żałośnie zwisają pożółkłe, suche listki. Człowiek z ryżowej słomy spogląda w dół i dostrzega na listkach, coraz więcej motylków. I wtedy ogarnia go strach. Czuje, jak spada na niego straszne nieszczęście, bezmiaru którego nie można wypowiedzieć. O biedna gospodyni! Znów oczy jej zajdą mgłą. Tak chciałby ją ostrzec! Niechaj przyjdzie i odegna nieszczęście!

Ale to są tylko myśli. Z wysiłkiem porusza złamanym wachlarzem. Wachlarz uderza po jego ciele wydając pewien odgłos. Krzyczeć przecież nie może, tylko w ten sposób jest w stanie ostrzec swą gospodynię.

Cóż się dzieje dalej? Oto stara kobieta przychodzi na pole. Plecy jej są zgarbione. Patrzy na wodę na polu, której jest akurat tyle, ile potrzeba — nie będzie musiała przy pomocy koła prowadzić jej z rzeki. A potem waży w ręku kłosa. Twarz jej rozjaśnia jakaś niezwykła radość — na pewno ziaren zbierze się do syta. Spojrzała na słomianego człowieka. Po dawnemu czapka nakrywała jego głowę, po dawnemu trzymał w ręku wachlarz, słyszała odgłos uderzeń wachlarza

po słomianym ciełe. I w ogóle stał jak powinien, nie zmienił swej pozycji, tak jak wczoraj, przedwczoraj i zawsze. Stwierdziwszy, że wszystko jest w należywym porządku, usiadła na brzegu pola. Pomyślała, że czas wracać do domu kręcić sznury z trawy.

Człowiek z ryżowej słomy patrzył jak odchodziła, był bardzo wzburzony, ale nie mógł nic powiedzieć, tylko nieustannie uderzał wachlarzem. Rozpaczliwie łowił oddalające się kroki. Odgłosy uderzeń jego wachlarza jakby mówiły: „Wszak jesteś gospodynią, nie odchodź z pola. Nie wolno ci uważać, że wszystko jest w porządku. Ogromne nieszczęście zawisło nad twoim polem. Zobaczysz, nadejdzie pora zbiorów, a zebrać nie będzie co. Popłyną wtedy łzy z twoich oczu, serce będzie rwało się na kawałki. Zgaś ten przedwczesny płomień, jeszcze przyjdzie nań czas. Spójrz lepiej na listki młodego ryżu”!

Coraz większą nadzieję pokładał w szybkich uderzeniach wachlarza. Celem ich było przywołanie starej kobiety. Ale ona nie rozumiała go, oddalając się krok za krokiem. Wytężał wzrok, nie mógł jednak dostrzec nawet zarysów jej pleców. Pojął, że jego ostrzeżenia poszły na marne. Na polu nie było nikogo tak smutnego jak on. Cierpiał, że nie może uczynić ani jednego kroku, aby odegnąć zło. Cierpiał, że nie może przekazać swych myśli wiatrom, aby te zawróciły gospodynię, która jest w stanie zapobiec nieszczęściu. Czuł, jak bardzo ciało jego jest wyschnięte i słabe. Martwił się i cierpiał, tak że stać już nie miał siły. Skrzywił ramiona, zgiał plecy, twarz miał zboląłą, jak schorowany człowiek.

Nie minęło kilka dni, a całe masy żółto-białych motylek siedziały na łodygach ryżu. W ciszy wielu nocy słomiany człowiek słuchał, jak wysysają sok z ryżowych ziarenek i patrzył, jak lekko i radośnie fruują. Ryżowe kłosa powoli, jakby poddając się losowi, zaczęły zwisać, więdły, żywy kolor ich listków stracił swą dawną zielen.

Wiedział, że ciężka, tegoroczna praca gospodyni pójdzie na marne, że znów staną łzy w jej oczach, że znów będzie ciężko wdychać. Człowiek z ryżowej słomy nisko opuścił głowę i zapłakał.

Nastaly chłodne dni. Nocą na polach hulał zimny wiatr i kołysał jego ciałem, które drżało jak struny gęśli. Płakał nie znajdując nigdzie współczucia.

Nagle doszedł do niego głos jakiejś kobiety, mówiącej: „Tak, to tutaj”.

Tak, jak i wtedy, poczuł w sercu chłód. No cóż, nie ma rady, po dawnemu musi pełnić swe obowiązki i stać tu mimo zimna.

Przypatrzył się kobiecie; była to rybaczka. Opodal płynęła rzeka. Łódka, w której siedziała kobieta zatrzymała się i można było w niej dostrzec mały język ognia. Rybaczka wyciągnęła sieci, rzuciła je na dno, po czym usiadła na brzegu rzeki czekając. Po jakimś czasie w łódce rozległ się słaby kaszel małego dziecka, a potem cieniutki, znużony głosik zawołał: „Mama”! Kobieta zaniepokoiła się i po raz niewiadomo już który wyciągnęła sieć ciągle pustą. Potem weszła do łódki i przemówiła do chorego dziecka: „Śpij spokojnie, mama złowi kilka rybek i jutro ugotuje ci na nich ryżowej zupki. Ty tylko krzyczysz i obawiam się, że ryby dlatego nie podpływają do sieci”.

Na te słowa dziecko niecierpliwie odezwało się: „Mamo, w gardle mi zasycha, daj mi herbaty”. Powiedziawszy to zaniósło się kaszlem.

„Tutaj herbaty! Daj spokój! O pizodkowie moi”!

„Ja chcę herbaty”! — wykrzyknęło dziecko i rozplakało się. Wśród tych pól, w nocnej pustce, płacz brzmiał boleśnie i niemal tragicznie.

Cóż ma robić rybaczka, wypuszcza z rąk sznur, zbliża się do łódki, nabiera z rzeki kubek wody i daje do picia choremu dziecku. Dziecko pije łapczywie do syta. Ale po opróżnieniu kubka kaszel staje się jeszcze ostrzejszy, aż wreszcie dziecko zmęczone nim milknie. Rybaczka nie podchodzi do niego, siedzi na brzegu i wyciąga sieci. Trwa to bardzo długo — chore dziecko nie odzywa się. Kobieta znów wyciąga puste sieci.

Aż nareszcie udaje jej się złowić karasia, długości około 6-7 *ts'un*<sup>1</sup>. To jest pierwsza zdobycz tej nocy. Rybaczka z namaszczeniem wyjmuje go z sieci i kładzie do drewnianego wiaderka. Potem ponownie zarzuca sieci. Drewniane wiaderko stoi u stóp człowieka z ryzowej słomy, który czuje w swym sercu ranę. Lituje się nad chorym dzieckiem, którego wyschniętego gardła matka nie może zwilżyć kroplą herbaty i które chociaż tak chore i cierpiące, nie usnęło w ramionach swej matki. Lituje się i nad kobietą łowiącą ryby, która myśli o gorącej zupie i dlatego nie zwraca zmarzniętej twarzy ku choremu dziecku. Cierpi, że nie może dać dziecku do picia gorącej herbaty; cierpi, że nie może położyć się, aby ogrzać jego zmarznięte ciało; cierpi, że nie może odebrać ukradzionych przez żółto-białe motyle ziarenek i dać do ugotowania rybaczce. Gdyby tak mógł poruszać się, na pewno natchnąłby jej serce jakąś myślą. Największym jego nieszczęściem było to, że podobnie jak drzewo, nie mógł uczynić ani pół kroku. Mógł tylko zwiesiwszy głowę dalej płakać, płakać i cierpieć.

Nagły plusk ryby wrzuconej do wiaderka obudził w nim ciekawość. Przestał płakać, aby dowiedzieć się o co chodzi.

Woda w wiaderku ledwo pokrywała dno, a oślizgłe ciało karasia łaknęło wilgoci rzeki. Cóż, kiedy nie mógł się stąd wydostać. Chciał uciec i począł podskakiwać, ale za każdym razem dolatywał do brzegu wiaderka i potem znów opadał, aby leżeć potłuczony na dnie. Utkwiwszy swe źrenice w słomianym człowieku, z płaczem w głosie przemówił:

„O przyjacielu mój, spuść trzymany w swym ręku wachlarz, wybaw mnie od nieszczęścia! Porwano mnie z mojej wody i teraz — umrę! Ulituj się, okaż mi choć odrobinę serca, wybaw mnie od śmierci”!

Ta żałosna mowa karasia głęboko poruszyła serce człowieka z ryzowej słomy. Ale pokiwał tylko trzęsącą się głową, co miało oznaczać: „O, wybacz mi, ja jestem tylko słabą, bezsilną istotą! Z całego serca pragnąłbym uratować i ciebie i kobietę, która cię złowiła, i jej chore dziecko, i wszystkich innych, ale jestem tylko jak

<sup>1</sup> Chińska miara długości; 1 *ts'un* = 3,2 cm.

drzewo posadzone w danym miejscu i nie mogę postąpić nawet pół kroku. Tak, cóż ja jestem w stanie uczynić, nawet przy najlepszych chęciach. O, wybacz mi jestem tylko słabą, bezsilną istotą”!

Ale karaś nie zrozumiał jego myśli, a widząc nieustannie kiwającą się głowę zapłonął gniewem jak ogniem i głośno wykrzyknął:

„Czyż to jest dla ciebie takie trudne? Nie ma w tobie odrobiny ludzkich uczuć! Jakżeż mogłem być taki naiwny! Czyż kogoś postronnego mogłoby poruszyć cudze nieszczęście! Trzeba liczyć tylko na siebie, a jeśli własne wysiłki na nic się nie zdadzą, nie pozostaje nic innego, jak umrzeć! Cóż i tu musi kryć się jakiś sens”!

Powiedziawszy to, ryba na nowo zaczęła swe odważne skoki, ale ogon i płetwy poruszały się ostatkiem sił.

Człowiek z ryżowej słomy uświadomił sobie, że karaś źle zrozumiał jego myśli. Nie mógł przecież ich wyjaśnić, i tylko westchnąwszy cicho, zapłakał nad swą bezsilnością.

Po chwili podniósł głowę i ujrzał śpiącą rybaczkę — w ręku nadal trzymała sznur do wyciągania sieci. Jej zmęczenie było tak wielkie, że pokonało wszystkie nakazy zdrowego rozsądku. Usnęła, mimo że myślała o tym, że ma ugotować jutro rybną zupę, i o tym, że sen jest jej wrogiem.

Z wiaderka już nie dochodziły głośne pluski wody wydawane przez skaczącą rybę. Karaś ledwie poruszał ogonem. Człowiek z ryżowej słomy pomyślał, że ta noc jest najtragiczniejsza ze wszystkich, jakie przeżył. To chyba prawda! Popatrzył na małych, jasno-żółtych rozbójników: najedli się do syta kradzionym i fruwały zadowoleni z siebie. Ukradzony ryż należał do gospodyni; ileż pracy włożyły weń jej stare kości. I to wszystko na to, aby zjadły go motyle! Czyż na tym świecie może być coś bardziej smutnego?

Powoli gasły blaski księżycy, zda się, wszystko zaczęło się wypełniać straszną, przygniatającą ciemnością. Człowiek z ryżowej słomy dostrzegł nagle, że brzegiem rzeki przesuwają się cienie jakiejś sylwetki. Przyjrząwszy się jej uważnie, rozpoznał cień kobiety z rozwichrzonymi włosami, w obszernej, zimowej kurtce. Zatrzymawszy się, kobieta popatrzyła na łódkę, na rybę; nie poszła dalej w kierunku łódki, ale skierowała się ku brzegowi rzeki, postąpiła kilka kroków w dół i zatrzymała się. Człowiek z ryżowej słomy zdziwił się i zaczął rozmyślać, co to ma oznaczać. Kobieta mówiła coś, wydobywając z siebie pełne bólu, ciche dźwięki. Jednak człowiek z ryżowej słomy słyszał je — w swej samotności przywykł rozróżniać nawet najbardziej słabe odgłosy nocy.

A oto, co szeptała kobieta w nocnej ciszy:

„Nie jestem wołem ani rybą, czy mogę zgodzić się na to, abys sprzedał mnie ludziom? Jeśli teraz nie zejdziesz z tego świata, jutro gwałtem sprzedasz mnie obcym.



Dostaniesz trochę pieniędzy, ale w hazardowych grach lub przy żółtym winie stracisz je w kilka dni. Jakież ci to przyniesie korzyści? Dlaczego tak znęcasz się nade mną? Pozostaje mi tylko umrzeć, poza tą nie ma dla mnie innej drogi. Umrę, połączę się ze swym zmarłym dzieciątkiem, będziemy razem”!

Skargi swe co chwila przerywała okrzykami trwogi, czy żalu, które wreszcie zlały się w jeden szloch — płakała.

Potworny strach ogarnął człowieka z ryżowej słomy. Uświadomił sobie, że znów staje się świadkiem pełnego zgrozy wypadku: kobieta na pewno popełni samobójstwo. Za wszelką cenę pragnął ją uratować, pchała go ku temu jakaś niepowstrzymana siła. Dlatego coraz mocniej uderzał wachlarzem w nadziei, że obudzi śpiącą rybaczkę. Ale na próżno, rybaczka była zmęczona, spała jak zabita i nawet nie drgnęła.

Zapłonął wtedy nienawiścią do siebie za to, że jest podobny do drzewa, które zasadzone w danym miejscu nie może uczynić nawet pół kroku. Zdawał sobie sprawę z tego, że patrzeć, jak ginie człowiek i nie ratować go — to najgorsze przestępstwo. I oto on sam popełnia to przestępstwo. Zaiste, to było straszniejsze, niż śmierć!

„O, niebo, prędzej rozjaśnij się świtem! Wieśniacy, prędzej przybywajcie do pracy! Ptaki, nieście szybciej tę straszną wieść! Wietrze poranny, rozwiej jej straszne myśli, myśli szukającej śmierci”!

Tak modlił się bez słów człowiek z ryżowej słomy. Ale wokół wszystko po dawnemu spowite było złowieszczymi ciemnościami, była zupełna cisza. Serce rwało mu się na strzępy, nie mógł już myśleć o niczym innym, rosnący strach przykuł jego spojrzenie do samotnej, ciemnej, kobiecej postaci na brzegu rzeki. Kobieta stała w milczeniu, a potem kilkakrotnie pochyliła się i znów prostowała. Człowiek z ryżowej słomy wiedział, że straszna chwila zbliża się, i tylko wachlarz w jego rękę uderzał nie milknąc ani na chwilę. Kobieta na brzegu rzeki jakby zastygła. Trudno powiedzieć, ile czasu tak stała. Nagle uniosła w górę obie ręce, ciało jej przegięło się i ... skryło w głębi wody. I wtedy — człowiek z ryżowej słomy padł bez czucia. I nie usłyszał już plusku wody, do której rzuciła się kobieta.

Wczesnym rankiem wieśniacy idący brzegiem rzeki zobaczyli w rzece topielca i dali znać o tym okolicznym mieszkańcom. Z pobliskich wiosek zaczęli nadciągać ludzie, kobiety i mężczyźni. Beładny tupot wielu stóp zbudził śpiącą twardym snem rybaczkę. Spojrzawszy na wiaderko, w którym leżał martwy już karaś, postawiła je na dnie łódki. Twarzyczka dziecka była jeszcze mizerniejsza niż wczoraj, a jego kaszel nie ustawał ani na chwilę.

Razem z innymi przyszła na brzeg i stara kobieta — gospodyni człowieka z ryżowej słomy. Przechodząc obok swego ryżowego pola, chciała spojrzeć na plody swej pracy. Po jednej nocy, młode kłoski ryżu, nie zdążywszy dojrzeć,

zwiwały bezsilnie, liście na łodygach uschły i stały się żółte. Kobieta stanęła jak wryta i załamawszy ręce, gorzko zapłakała. A ludzie, kiedy nadbiegli pytając, czemu płacze, ujrzeli leżącego w poprzek pola człowieka z ryżowej słomy.

Z chińskiego przełożyła

*Alicja Wiatr*

